

Stanisław Milewski

Oskarżony Sherlock Holmes

Palestra 58/1-2(661-662), 215-221

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z dziejów reportażu sądowego (9)

Stanisław Milewski

OSKARŻONY SHERLOCK HOLMES

W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku i na początku XX opowiadania Conana Doyle'a, których bohaterem był Sherlock Holmes, drukowano w wielu czasopismach oraz jako oddzielne broszury i książki. Wydawano też mnóstwo seryjnych zeszytów pisywanych pod tego autora, bez żenady korzystając z zainteresowania, jakie wywoływał. Po wielu wydaniach nie ma śladu, któż więc wymierzy jego ówczesną popularność? Musiała być ogromna, skoro właśnie stworzoną przez niego postać – Sherlocka Holmesa – postawiono w stan oskarżenia przed opinią publiczną, przypisując mu niebłahy zarzut: podżegacza do zbrodni.

Oto bowiem 16-letnia dziewczyna (inni podawali 15-letnia), służąca o nazwisku Nowińska, dokonała zabójstwa swej chlebodawczyni – jak twierdziły gazety – pod wpływem *Przygód Sherlocka Holmesa*. Niektórzy winili za to literaturę sensacyjną w ogóle, ale Michał Synoradzki, redaktor naczelny poważnej i opiniotwórczej „Biesiady Literackiej”, wprost wskazał palcem pocziwego Holmesa w ślad za niektórymi popołudniówkami.

Przeciwno niemu świadczyły bowiem „niepodważalne” fakty. Zamordowana chlebodawczyni była osobą starszą, z poprzednimi służącymi obchodziła się dobrze. Nie wchodziła więc w rachubę zemsta, ale chęć grabieży. Dzienniki pisały, że dziewczyna nie miała w dzieciństwie należytej opieki i już dawniej zdradzała złe skłonności. Przypuszczano, że szwankuje umysłowo, ale najbardziej eksponowano charakterystyczny szczegół: iż do zbrodni „pobudziła ją niewątpliwie gorsząca literatura”. Nowińska – ubolewał Synoradzki – chciwie pochłaniała *Przygody sławnego Sherlocka Holmesa*. To nieszczęsne wydawnictwo, tę „truciznę szerzącą zarazę występku wśród młodzieży”, znalazła u swojej dawniejszej pani w Lublinie, gdzie nie zabraniano jej czytania „ohydy”. Dziewczyna tak się rozmiłowała w kryminalistyce, że po dokonaniu zbrodni – co podkreślił redaktor „Biesiady” jako główny dowód – znalazłszy się w posiadaniu przeszło stu rubli, przede wszystkim kupiła sobie lakierowane pantofelki i cały zapas *Przygód Sherlocka Holmesa*¹.

¹ „Biesiada Literacka” 1900, nr 14.

W XIX-wiecznej prasie nieraz podawano przykłady strasznego maltretowania służby przez swoich chlebobawców. Czasem bywały na tym tle procesy, gdy dręczenie – jak w przypadku pewnej służącej niesłusznie podejrzewanej o kradzież – przybierało formy bardzo drastyczne. Wyroki w podobnych sprawach zapadały łagodne, raz chyba tylko wszedł w grę kilkudniowy areszt. Żadne jednak z podobnych wydarzeń nie stało się przedmiotem tak gwałtownego wystąpienia publicysty, jak atak Synoradzkiego na literaturę kryminalną z powodu owego zabójstwa dokonanego przez nierozgarniętą nastolatkę.

„Mamy już zatem dowód niezbity, namacalny – grzmiał redaktor „Biesiady Literackiej” – strasznego wpływu ohydy kryminalistycznej, a oczywiście jest to jeden z całego ogromu faktów, których tylko domyślać się można, i to domyślać na pewno, gdyż niesłychane rozpowszechnienie owej trucizny musiało swoje zrobić, musiało zgangrenować wiele umysłów i zwrócić je na złą drogę... Wydawnictwa te – pisał dalej – spotyka się wszędzie, w kuchni, w przedpokoju u służby, w skromnej izbie robotnika, w chacie włościańskiej, w wykwintnym buduarze pani inteligentnej, w pokoju uczącej się młodzieży, w domach ziemiańskich, a nawet na biurku poważnych prawników i lekarzy. Słowem – czytają je wszyscy: ciemne masy i inteligencja, najmłodszy i najstarsi. Niektórzy wstydzą się tego i rozkoszują się kryminalistyką ukradkiem; inni zachwycają się trucizną jawnie i bronią jej nawet...”²

Dekadę później do tematu powrócił „Świat”, bo życie dostarczyło znów świeżych przykładów na raz postawioną, „oczywistą” tezę. „W ostatnich czasach – pisano na łamach tego ilustrowanego magazynu poświęconego głównie literaturze i sztuce – poruszano niejednokrotnie szkody, jakie wyrządza, zwłaszcza w naszych smutnych warunkach, tzw. «literatura» sensacyjna. Opinię publiczną bowiem poruszyły bardzo żywo dwa fakty szczególniejszego rodzaju. Oto w mieszkaniu Dłużniewskiego, osławionego przywódcy bandy Łódzkiej, odkryto całą niemal bibliotekę, składającą się z tak zwanych «Sherlocków Holmesów». A nim z pierwszego ochłonęliśmy wrażenia, już znowu doniosły nam dzienniki, że 16-letni Edward Tober dokonał ohydnych morderstwa pod wpływem «literatury» sensacyjnej”³.

Sam snobistyczny nieco „Świat”, założony i redagowany przez estetę Stefana Krzyszewskiego, jak ognia unikał sensacji. Unikał jej również w tygodniowym dodatku „Romans i Powieść”, starając się propagować literaturę wysokiego raczej lotu. Argumenty przeciwko literaturze sensacyjnej były widocznie nie do odrzucenia i poważniejsze pisma jak ognia zaczęły unikać tej „zarazy”. Stateczne „Kłosy” w początkach swego istnienia zamieściły kilka bardzo wartościowych opowiadań kryminalnych, potem zaś, gdy stały się głównym tępicielem niezdrowej sensacji (w czasie procesu szewca Stanisława Hiszpańskiego, zabójcy doktora Kurcjusza, przyrównywały niektóre gazety do much, które obsiadły trupa⁴) – z ostrożności, by im się nie odgryzano, że nie są lepsi – zupełnie zaniechały tej problematyki.

A przecież to na łamach tego czasopisma już od trzeciego numeru pierwszego rocznika (1865) komisarz policji Gestral w trzech kolejnych odcinkach wyświeślał zagadkę

² Tamże.

³ Stanisław Dzikowski, *Za kulisami „literatury” sensacyjnej*, „Świat” 1911, nr 18.

⁴ „Kłosy” 1880, nr 797.

zabójstwa Albertyny Renoux. Niebawem dano dwa wieloodcinkowe opowiadania bardzo poważnego autora, jakim był bez wątpienia Jodocus Deodatus Hubertus Temme, twórca „prawniczego kryminału”, książki *Der Prozess Lafarge beleuchtet nach Preussischen Strafrechte* (Berlin 1841), w której przymierzał proces sławnej w całej Europie trucicielki – Franciszki Marii Lafarge (1840) do pruskiego ustawodawstwa karnego. „Kłosa” wydrukowały jego *Sąd Boży* – opowiadanie, jak napisano w podtytule, z praktyki prezesa sądu kryminalnego w Litwie pruskiej oraz również opowiadanie z praktyki kryminalnej pt. *Sęp*.

Takich rarytasów w późniejszych latach darmo szukać w poważniejszych czasopiśmie. Sensacyjno-kryminalna literatura straganiarska wdzieriała się więc niemal w próżnię, a ambitniejsze nawet pozycje tonęły w masie owej „ohydy”, którą zwalczały publicyści, wylewając dziecko razem z kąpielą. Podobnie rzecz miała się ze sprawozdawczością sądową. Poważne czasopisma nie dawały dobrego reportażu sądowego, w pustkę wdzierwały się więc krzykliwe i bezpardonowe w walce o czytelnika brukowce. Gazeciarze, ów najlepszy barometr sensacyjności, wołali: „Najwięcej szczegółów zbrodni w...” – tu padała nazwa gazety, która zdążyła uprzedzić konkurentów.

Gdzież miał więc drukować relację z procesu nawet najlepszy reportażysta? Może w „Prawdzie”, która interesowała się problematyką społeczną i trafnie wiele razy wskazywała korzenie zła? Reportażysta sądowy nie miałby jednak tam czego szukać. Naczelny tego tygodnika, Aleksander Świętochowski, pisał w cotygodniowym felietonie pod koniec stycznia 1882 roku: „Są pisma, których specjalnym zadaniem jest obrzydzenie nam życia kroniką morderstw, kradzieży, oszustw i tym podobnych zbrodni. Po jednej lekcji starożytnego pesymisty, Hegezjasza, słuchacze wywieszali się. Gdybym nic nie czytał, tylko najpopularniejsze u nas pisma, może bym zrobił toż samo. Żyć na świecie, w którym dzieje się tyle okropności, oddychać ciągle atmosferą kryminalnych raportów, widzieć w gazetach więcej zajęcia dla rzezimieszka lub fałszerza weksłów niż dla uczonego czy artysty – doprawdy długo nie można”⁵.

Najlepsze sprawozdania z głośnych procesów kryminalnych, które toczyły się przed sądami warszawskimi, znaleźć można – o ironio! – w petersburskim „Kraju” założonym przez adwokata Włodzimierza Spasowicza. Aż tam Wiktor Gomulicki, bo on był ich autorem, znajdował dla nich miejsce, natomiast w „Tygodniku Ilustrowanym”, gdzie przez pewien czas pisywał kronikę, mógł snuć na temat tych spraw tylko refleksje felietonisty. Pismo to bowiem, angażując się zdecydowanie i konsekwentnie w zwalczanie niezdrowej sensacji i narzekając, że „nekrologi i sprawozdania sądowe luzują się nieustannie w dziennikach, mało miejsca pozostawiając na kronikę światową”⁶, stawiało się w niezręcznej sytuacji i narażało na zarzut „podbijania bębena celem konkurencji”, gdy samo próbowało dać coś z sądów. Tak było, gdy zamieszczono sprawozdanie z procesu toczącego się we Lwowie, którego przedmiotem były nadużycia w tamtejszej kasie oszczędności, ilustrując reportaż rysunkami sądu przysięgłych i portretami oskarżonych⁷. Podobnie rzecz się miała, gdy „Tygodnik Ilustrowany” wydrukował sprawozdanie

⁵ *Liberum veto*, „Prawda” 1882, nr 4.

⁶ „Tygodnik Ilustrowany” 1891, nr 61.

⁷ „Tygodnik Ilustrowany” 1899, nr 42.

pióra adwokata Henryka Cederbauma z warszawskiego procesu fałszerzy pieniędzy w rubryce „Z krainy Temidy”⁸, która to rubryka zresztą zaraz zamarła.

Po kilku latach „Tygodnik Ilustrowany” znów spróbował sądowego reportażu, przekazując relację (z fotografią i rysunkami) z krakowskiego procesu Janiny Borowskiej, zabójczynie adwokata Włodzimierza Lewickiego⁹, ale spotkało się to z tak złośliwymi uwagami, że aż w odrębnej publikacji pt. *Sensacja a publiczność* redakcja była zmuszona tłumaczyć się, iż o „zjawisku społecznie ujemnym, z elementami higieny społecznej jaskrawo niezgodnym” też trzeba poinformować. Gdy jednak w 1911 roku odbywał się w Warszawie głośny proces hr. Ronikiera oskarżonego o zabójstwo Stanisława Chrzanowskiego – redakcja, zamieszczając o nim relację¹⁰, na wszelki wypadek, żeby nie wyglądało na materiał zamówiony, zastrzegła się, że „felieton otrzymaliśmy od jednego z wybitnych prawników i publicystów naszych”.

Proces Ronikiera, który stanowił nie lada gratkę dla brukowców, przyciągnął także uwagę ich konkurencji, filmu, czyli jak wówczas mawiano – kinematografu. Wtedy właśnie po raz pierwszy wynikł problem: czy można filmować proces sądowy? Ówczesni filmowcy także gonili za sensacją, co moralistom dało nowy temat do jeremiad i potępień. Tylko „Tygodnik Ilustrowany” zajął w tym względzie odmienne stanowisko. Opublikowano w nim artykuł Włodzimierza Perzyńskiego pt. *Kinematograf a moralność*, gdzie autor *Aszantki* i *Szczęścia Frania* dowodził, że ten nowy środek masowego przekazu wywiera dobry wpływ na obyczaje¹¹; inni zaś wcześniejsi polemici atakowali kinematograf podobnie jak sensacyjną literaturę kryminalną. Perzyński potraktował problem dość humorystycznie, ale inni traktowali go z całą powagą. Rada Miejska wydała nawet w 1917 roku specjalną odezwę „w sprawie zepsucia młodzieży szerzonego przez kinematografy”¹².

Inicjatywa filmowców wówczas, w 1911 roku, spotkała się jednak ze sprzeciwem władz sądowych. Nie pomogła deklaracja, że w zamian za pozwolenie na utrwalenie na taśmie filmowej chyba wyimków z procesu Ronikiera – przedsiębiorca złoży wysoką ofiarę na Czerwony Krzyż. Władze sądowe słusznie odmówiły – skomentował ten fakt prawniczy organ „Gazeta Sądowa Warszawska” – bo rozprawa sądowa, gdzie chodzi o honor i życie kilku ludzi, to nie przedstawienie teatralne.

Dwa lata przedtem ta sama gazeta mocno oburzała się, gdy z fikcyjnego procesu rzeczywiście zrobiono teatralne przedstawienie. Sala Filharmonii stała się 6 maja 1909 roku widownią dla publiczności, która przysłuchiwała się sądowi nad Ewą Pobratymską, bohaterką *Dziejów grzechu* Stefana Żeromskiego. Niektórzy z prawników uznali, że ta głośna powieść nadaje się jak żadna inna do ukazania warszawiakom, jak działa prawo w zderzeniu z sytuacjami konfliktowymi przedstawionymi piórem wielkiego pisarza. Przewodniczył tej fikcyjnej rozprawie Roman Wysocki, znany i wiekowy ad-

⁸ „Tygodnik Ilustrowany” 1903, nr 48.

⁹ „Tygodnik Ilustrowany” 1910, nr 3 i 4.

¹⁰ „Tygodnik Ilustrowany” 1911, nr 37.

¹¹ „Tygodnik Ilustrowany” 1913, nr 16.

¹² Opublikował je stołeczny tygodnik „Pracownik Polski. Organ stowarzyszeń chrześcijańskich” 1917, nr 17, s. 2.

wokat, oskarżał Antoni Miller, bronił powieściopisarz i poeta Tadeusz Ulanowski. Ewę oskarżano o kilka przestępstw; uniewinniono ją przy oklaskach sali.

Reakcja prasy była w zdecydowanej większości nieprzychylna, podobnie jak na film, który nakręcono dwa lata później według tej samej powieści. Gdy wyświetlono go po raz pierwszy w kinie „Venus”, prasa okrzyknęła rzecz pornografią, a najbardziej film gromiły gazety katolickie¹³. Z racji procesu w Filharmonii atakowano Żeromskiego za napisanie takiej powieści, adwokatów zaś za obniżanie prestiżu prawa. „Gazeta Sądowa Warszawska” wystąpiła bardzo ostro, proces nazwała parodią sądu, darła szaty, że na sali ponad połowę widzów stanowiły kobiety, a za największy skandal i karygodną lekkomyślność uznała fakt, że na estradzie wśród sędziów zasiadało dwóch adwokatów przysięgłych. Adwokat nie może być pajacem, a pajac adwokatem – tak kończył się ów napastliwy artykuł.

Być może owe wewnętrzne rozgrywki środowiskowe miały jeszcze jakieś podteksty, dziś trudne do uchwycenia. Sądownictwo było wówczas zamknięte dla Polaków. Warszawska palestra była więc bardzo liczna. Przerost kadr prowadził do ostrej rywalizacji, stąd też w prasie prawniczej tego okresu surowo piętnowano wszelkich „reklamiarzy”, a udział w takim „sądowym widowisku” był najlepszą reklamą profesjonalizmu i skuteczności. Z tego samego powodu często atakowano sprawozdawców sądowych, gdy w swoich relacjach z sądu wymieniali obrońców z korzystnymi dla nich komentarzami w rodzaju: „bronił ze zwykłą sobie maestrią i znajomością rzeczy adwokat X czy Y”.

W napaściach tych było czasem nieco przesady, ale też i dziennikarze prowadzący w tych latach różnego rodzaju kroniki sądowe i kryminalne nie byli bynajmniej ludźmi kryształowymi. Prasa brukowa stwarzała typ dziennikarza-gangstera, bez skrupułów wykorzystującego każdą okazję do nieuczciwych zarobków.

Charakterystyczny przypadek dotyczący Paryża żywo komentowany był wśród warszawskich prawników. Redaktor tamtejszego pisma „Petit Journal des Tribunaux” przy okazji zbierania materiałów w sądzie wyłapywał nazwiska tych osądzonych, którym według jego rozeznania zależeć mogło na dobrej opinii. Wysyłał do nich następnie list tej treści: „Szanowny Panie! Trybunał skazał Pana za czyn bardzo kompromitujący. Jako redaktor pisma szeroko rozpowszechnianego mam obowiązek zdać sprawę z tego procesu. Zastać mnie można codziennie w godz. 10–11 w biurze, gdzie udzielam posłuchania zanim artykuł ukaże się w dzienniku”.

Interesantów przyjmował w swej kancelarii i na pewien czas zostawiał samych. Mogli wówczas dokładnie obejrzeć cały pokój. Na jednej ze ścian wisiała dwumetrowa tablica z dużym napisem „pręgierz fałszerzy”, a obok stała kartoteka. Jej szuflady były opatrzone napisami: „dowody sekretne”, „dramaty kompromitujące” itp. Gdy redaktor wracał, początkowo był nieubłagany: w interesie społecznym – mówił – nie może milczeć. Stopniowo jednak dawał się udobruchać, gdy zaś interesant deklarował roczną prenumeratę i wręczał 40–50 franków za wstrzymanie druku – kończono sprawę z obopólnym zadowoleniem. Sąd Kryminalny skazał owego redaktora na rok więzienia.

U nas podobnych spraw nie było, ale jak wynika ze wspomnień Feliksa Fryzego, redaktora „Kuriera Porannego”, pisanych w 1899 roku, podobne stosunki panowały w niektórych redakcjach. Skazywani przez sądy przychodzili bardzo często do redak-

¹³ Por. np. „Przegląd Katolicki” 1911, nr 35, s. 695.

cji i prosili, by nie pisano o ich sprawie lub przynajmniej nie wymieniano nazwiska. Powoływali się przy tym na obietnice innych redaktorów, którzy już im zaręczyli, że wstrzymają się z publikacją. Tym lepiej, „Kurier Poranny” będzie ciekawszy! – odpowiadał w takich razach Fryze, zacierając ręce. Dziennikarstwo praktykował w Stanach Zjednoczonych, dobrze więc znał wszystkie możliwości, jakie ma w rękę. Łamanie pisma – twierdził – to niby układanie menu. Wiadomość o nowej sztuce autora X umieszczona między wiadomościami o kradzieżach może nawet doprowadzić do pojedynku.

Pojedynekowali się też niektórzy dziennikarze często gęsto, nie rzadziej obrywali kijami. Zbierali też połajanki od kolegów, którym leżał na sercu poziom zawodu i jego etyka.

W tym względzie wyróżniał się bardzo „Tygodnik Ilustrowany”, który akcentował konieczność dbania o etykę zawodową i potrzebę integrowania całego środowiska dziennikarskiego, aby mogło ono zwalczać wszelkie przejawy łamania jego zasad. Przyszłość prasy zależy nie od talentów, lecz od miernoty – powtarzano na jego łamach za Renanem. „W służbie dziennikarskiej – czytamy w artykule *Dziennikarstwo i opinia* w roczniku 1891 – widzimy legion reporterów żyjących z wiadomości «świeżych» i «sensacyjnych», mniejsza o to czy prawdziwych, czy nieprawdziwych, w wiecznej pogoni za nowością i sensacją, łechcących zmysły czytelników. Tej armii zarówno jest obojętna prawda jak i etyka, jak logika i moralność, styl i ortografia, ludzkość i cywilizacja. Po co zresztą przyrzeciać wielkie słowa do małych rzeczy”¹⁴.

Pięć lat później to samo pismo znów narzekało na niski poziom dziennikarstwa – inni dodawali, że wyróżniali się *in minus* zwłaszcza sprawozdawcy sądowi pisujący w prasie brukowej – że niewielu jego adeptów skończyło jakieś studia i jest zdolnych, za to wielu to „wykolejency, rozbitki życiowe, dla których dziennik jest aferą, geszeftem, takim samym jak sprzedaż butów czy proszku perskiego”, że do tego zawodu garną się adwokaci bez klientów, lekarze bez pacjentów, zbankrutowani gospodarze. Dziennikarstwo takie jest jedną z plag społecznych¹⁵ – konkludował swe wywody *Quis*, czyli Marian Gawalewicz, który pisywał pod takim właśnie pseudonimem.

Do problemów tych „Tygodnik Ilustrowany” powrócił dekadę później¹⁶, gdy trwały przygotowania do pierwszego kongresu prasy polskiej, który zamierzano zwołać we Lwowie lub Krakowie – jako w miastach dających większą gwarancję nietykalności osobistej uczestników.

„Orgię reportersko-sądową” potępiała wielokrotnie „Gazeta Sądowa Warszawska”, zwracając uwagę, że dla dokładnego przedstawiania procesów sądowych potrzebne jest wykształcenie prawnicze i rzetelność. Sprawozdawcy tylko wyjątkowo bywają na salach sądowych – czytamy w jednym z artykułów – ale tylko zaglądają do kancelarii i chodzą po korytarzach, pytają znajomych prawników, co słyhać, streszczają akty oskarżenia, a sprawy potem mają inny przebieg. Byli tacy – pisała „Gazeta” – co drukowali sprawozdanie nazajutrz, a nie byli wczoraj na rozprawie. Złodziej czy rozbójnik z więzienia reklamować nie będzie, ale jest to bałamucenie opinii publicznej. A jeśli sąd orzeknie

¹⁴ „Tygodnik Ilustrowany” 1891, nr 96.

¹⁵ „Tygodnik Ilustrowany” 1896, nr 18.

¹⁶ „Tygodnik Ilustrowany” 1907, nr 28.

niewinność danej osoby, to w jaki sposób można jej i rodzinie wynagrodzić to straszne moralne cierpienie, jakiego przez napiętnowanie w opinii publicznej doznała? – pytało to pismo parę lat wcześniej.

Na początku wieku, gdy sprawozdawcy zaczęli tworzyć „pełne humoru” nowelki w rubrykach kryminalnych, wymieniając z imienia i nazwiska, razem z adresami ich bohaterów, opatrywali te utwory frapującymi tytułami, np. „mąż w opałach”, „nowoczesny Otello”, „rycerz noża” itp. Z osobami eksponowanymi liczyli się i sprawdzali informacje, zaś czeladników, dorożkarzy, sklepikarzy i w ogóle ludzi niższego tanu wazyli sobie lekce. Jeden z „kurierów” opisał sprawę kilku osób pod tytułem *Pomysłowi oszuści* na podstawie raportu policyjnego, a sąd ich uniewinnił, to jest wprost karygodne – oburzał się znany adwokat Mikołaj Korenfeld w artykule *Nowelki z raportów policyjnych*¹⁷.

Sama „Gazeta” nie zdołała przez wiele lat swego istnienia przed pierwszą wojną światową wypracować formuły reportażu sądowego, który mógłby stać się interesujący dla czytelników, a wzorem dla sprawozdawców innych pism. Spotykały ją zresztą z tego powodu zarzuty, m.in. wytykał to redakcji Aleksander Świętochowski w „Prawdzie”. Słusznie zwracał uwagę, że tasiemcowe opisy procesów zamieszczano w tym fachowym periodyku dopiero wówczas, gdy już wszyscy zapomnieli o sprawie żywo kiedyś obchodzącej opinię publiczną. Nie przysparzało to pismu czytelników i miało ono duże trudności z uzyskaniem prenumeratorów. Drukowano tu nieraz całą dokumentację procesów, co ma dziś dużą wartość historyczną, ale dla współczesnych było zwyczajnie nudne. Procesy wybierano zresztą bez żadnej myśli przewodniej, co sprawia wrażenie przypadkowego doboru. Dziwna rzecz, ale w początkowych rocznikach, gdy sprawozdania z procesów pisywali adwokaci, a jednocześnie ludzie pióra tej miary, co Aleksander Kraushar czy Józef Rosenblatt – łatwiej znaleźć dobry reportaż sądowy niż w latach późniejszych. Widocznie zdawała sobie z tego sprawę sama redakcja, bo z czasem z wielką szkodą dla historii w ogóle zaniechano pisania o procesach na łamach tego pisma.

¹⁷ „Gazeta Sądowa Warszawska” 1904, nr 38.